

Sztuka jako zagrożenie

I

Wbrew dwóm pierwszym wersom z wiersza „*Rozpoczęta opowieść*” Wisławy Szymborskiej - „*Na urodziny dziecka świat nigdy nie jest gotowy.*”, w dzieciństwie miałem poczucie, że świat na moje przyjście był całkiem dobrze przygotowany.

Może nie od samego początku, ale byłem przecież za mały, żeby świadomie przeżyć stan wojenny. Pamiętam jedno poranne przeszukanie w mieszkaniu, które nie wydawało się groźne, bo z dziecięcego pokoju milicjanci zabrali nam tylko kilka książek i politycznych rysunków mojego starszego brata. Pamiętam jedną długą kolejkę po mięso, w której stałem z mamą. I radość mamy, kiedy wróciła raz do domu obwieszona rolkami papieru toaletowego. Mój tata w grudniu 1981 na wypadek gdyby po niego przyszli, przespał kilka nocy u swojego przyjaciela po drugiej stronie ulicy, ale jakoś nikt nie chciał go internować. Ominęły mnie też czołgi, koksownicy i cała reszta, którą znam ze zdjęć.

Za to w miarę świadomie pamiętam pozytywny przełom 1989 roku. Emocje przed telewizyjną debatą Wałęsa-Miodowicz, którą przewodniczący Solidarności wygrał z szefem prorządowych związków zawodowych OPZZ. Okrągły Stół, kontraktowe wybory 4 czerwca z westernowymi plakatami Solidarności na ulicach. Przejętych i szczęśliwych dorosłych. Ogólne poczucie, że dzieje się coś wyjątkowego, upada reżim, a razem z nim podziały i teraz wszyscy ze wszystkimi muszą się dla wspólnego dobra dogadać.

To, co zaczęło się w Polsce, rozlało się na wszystkie kraje regionu. Pamiętam, jak oglądałem w telewizji upadek muru berlińskiego, którego zasprejowany kawałek dostałem w prezencie od przyjaciela mamy. Miał być pamiątką po podzielonej Europie, która teraz złączy się na nowo we wspólnotę demokratycznych wartości.

W szkole kilka nauczycielek wpięło sobie znaczki Solidarności. W telewizji powtarzano słowa: wolność, pluralizm, wolny rynek. Zmieniały się tylko głowy, które to mówiły. Na szczęście zaczął akurat nadawać jeden z pierwszych prywatnych kanałów telewizyjnych, Top Canal, który na zmianę z reklamami puszczał amerykańskie filmy. Nie przeszkadzało mi nawet, że prawie codziennie te same. Po kilku miesiącach pojawiła się telewizja kablowa i koledzy w klasie polecali, na których niemieckich kanałach po 23 można obejrzeć filmy erotyczne. Wszędzie też otwierały się wypożyczalnie kaset wideo z hollywoodzkimi hitami.

Rodzice cieszyli się, że do księgarń trafiły książki, które dotąd powielane miniaturą czcionką krążyły tylko w nielegalnym, drugim obiegu. A w kinach zaczęto puszczać zakazane wcześniej filmy, tak zwane „półkowniki”, bo przez lata leżały na cenzorskich półkach. Ale te książki i filmy, dawne zakazane owoce,

których tak bała się i z którymi walczyła poprzednia władza, straciły dawny smak i po przełomie już mniej ludzi interesowały. Paradoksalnie ich twórcy, przyczyniając się swoimi dziełami do upadku ustroju, doprowadzili do powstania nowego, w którym szeroko rozumiana sztuka wysoka była nieporównywalnie mniej ważna niż wcześniej.

Najważniejsze wydawało się to, co dzieje się tu i teraz. Dorastałem w czasie kiedy Polska ruchem jednostajnie przyspieszonym przesuwała się na Zachód. Wydawała się zupełnie inna, niepodobna do kraju, o którym uczyłem się na lekcjach historii. Bezładnego, skłóconego, pełnego wewnętrznych i zewnętrznych wrogów. Genetycznie chorego na autodestrukcję, co w konsekwencji doprowadziło w XVIII wieku do rozbiorów. Ten obraz zdawał się równie nieprzystający do nowej rzeczywistości – liberalnej demokracji i wolnego rynku – co wiersze romantyków, których uczyliśmy się na pamięć w szkole: Mickiewicza, Słowackiego, Norwida.

Zachodni świat, rządzony w większości przez przywódców pamiętających II wojnę światową, zdawał się iść tylko w jedną pokojową stronę. I byłem przekonany, że nie ma innej drogi też dla Polski, która właśnie weszła do NATO, przez co wydawała się bezpieczniejsza niż kiedykolwiek w swojej historii. Wojna kojarzyła mi się wtedy wyłącznie z ruchami wojsk na starej, krzywo powieszzonej na szkolnej tablicy mapie.

Pamiętam kurs językowy we Francji pod koniec lat 90., na którym młodzi z całego świata zastanawiali się nad trudnym przeżyciem pokoleniowym, które nas ze sobą łączy. Nad wydarzeniem, które dotknęłoby nas wszystkich niezależnie od kraju. Co jest tym, czym dla naszych rodziców i dziadków była na przykład II wojna światowa, czy 1968 rok? I znaleźliśmy tylko jedno. Samobójczą śmierć Kurta Cobaina z zespołu Nirvana w 1994.

Te w większości pozytywne wydarzenia z pierwszych dwudziestu lat życia przyzwyczaiły mnie do naiwnej pewności, że świat musi iść w pozytywną stronę. Bo właściwie dlaczego miałby iść w inną? Potwierdziło to jeszcze głosowanie w 2003 roku w referendum za wejściem Polski do Unii Europejskiej, do którego namawiał nawet polski Papież, Jan Paweł II.

Oczywiście dziś nie patrzę już tak naiwnie na tamten czas. Lata 90. to przecież też wojna w byłej Jugosławii. A w Polsce transformacja ekonomiczna, która pociągnęła za sobą wiele nieszcześć.

Ale z takim mniej więcej nastawieniem wchodziłem w dorosłość. W pisaniu skupiałem się na relacjach między ludźmi. Nie pisałem tekstów politycznych ani zaangażowanych, o których wiedziałem, że przecież najszybciej się starzeją. Nie interesowałem się specjalnie polityką.

Dopiero następujący ciąg zdarzeń to zmienił: rosyjska aneksja Krymu (2014), Brexit (2020), pierwsza kadencja Trumpa (2017-21). A w Polsce wpisująca się w tę logikę wygrana wyborów przez prawicowych populistów z partii Prawo i Sprawiedliwość w 2015 roku.

Dojście do władzy partii Jarosława Kaczyńskiego z dnia na dzień zmieniło polski krajobraz polityczny i kulturowy. To był ciekawy i zaskakujący czas.

Wszystko, co wczoraj wydawało się nie do pomyślenia, dziś już nie dziwiło. Nowi rządzący od początku działali inaczej niż ich poprzednicy, dla których zwycięstwo w wyborach bywało często celem samym w sobie i zatrzymywali się na nim zdyszani jak na mecie. Dla Prawa i Sprawiedliwości, które wygrało dzięki populistycznym hasłom i programowi rzeczywiście potrzebnej polityki socjalnej, ta wygrana to był dopiero start.

Z dnia na dzień wzięli się do roboty. Zresztą pracowali też w nocy, kiedy ich ledwo żywi ze zmęczenia posłowie przegłosowywali kolejne ustawy. Zapatrzeni w Węgry Orbana od początku wzięli na celownik demokratyczne fundamenty państwa, a przede wszystkim władzę sądowniczą, którą, łamiąc Konstytucję, chcieli sobie podporządkować.

Atakowali też wolność w prawie każdym jej wymiarze – niezależne media, prawa kobiet, wszelkie mniejszości narodowe i seksualne. Oraz oczywiście szeroko pojętą sztukę, którą słusznie rozpoznali jako przestrzeń wolności. I uznali – podobnie jak rządzący Polską przed przełomem 1989 roku – za zagrożenie.

Wszystko działo się tak szybko, że aż wydawało się nierzeczywiste. Rząd pod hasłem „wstawania z kolan” co chwila otwierał nowe fronty, szukając wrogów zewnętrznych i wewnętrznych w myśl zasady „dziel i rządź”.

Najgłośniejsza afera wybuchła w 2018 roku wokół nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, która miała karać (grzywną lub pozbawieniem wolności) za publiczne przypisywanie Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu współodpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy Niemieckiej.

Patrzyłem na to przecierając oczy. Czułem się jak w złym śnie. Narastała we mnie mieszanina złości, frustracji, ale też chwilami rozbawienia, kiedy na przykład dowiadywałem się, że ludzie przychodzą ze swoimi CV na miesięcznice smoleńskie upamiętniające katastrofę samolotu, w której w 2011 roku zginął prezydent Lech Kaczyński (brat bliźniak Jarosława), żeby u rządzących załatwić sobie posady w radach nadzorczych spółek skarbu państwa. Albo kiedy minister spraw zagranicznych informował z dumą o współpracy dyplomatycznej Polski z nieistniejącym krajem San Escobar.

Populizm partii Kaczyńskiego postawił znak równości między patriotyzmem i nacjonalizmem. Państwowe instytucje zaczęły zmieniać nazwy na „narodowe”, powstawały też nowe – z obowiązkowym słowem „narodowy” w nazwie. Z dyskursu rządzących zniknął „obywatel”, zastąpiony przez „suwerena” i „naród”.

Przestałem włączać publiczną telewizję, która podobnie jak przed 1989 rokiem służyła teraz rządzącym nie tylko za tubę propagandową, ale też narzędzie do

urządzania nagonek na „wrogów”, czyli tych, którzy nie sprzyjali nowej władzy. Te współczesne polowania na czarownice dotknęły również uznanych twórców, atakowano reżyserkę Agnieszkę Holland, czy pisarkę Olgę Tokarczuk, zarzucając im „antypolskość”.

Od czasów komunizmu żaden rząd tak bardzo nie skupiał się na kulturze. Rządzący akceptowali i promowali tylko twórczość ich zdaniem propagującą wartości patriotyczne i narodowe. Planowali nawet sławiące polską historię superprodukcje z hollywoodzkimi gwiazdami, ale skończyło się na zapowiedziach. Podobnie jak za czasów komunizmu do łask wrócił bezpieczny folklor ludowy.

Jedną z pierwszych decyzji nowego dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie było usunięcie z wystawy prac Natalii LL, na których artystka je banana. „To jest Muzeum Narodowe i pewna tematyka z zakresu gender nie powinna być explicite pokazywana” – tłumaczył. W odpowiedzi zorganizowano protest pod muzeum, w czasie którego uczestnicy jedli banany. A media społecznościowe zalała fala zdjęć z bananami.

W 2019 roku po ogłoszeniu Nagrody Nobla dla Olgi Tokarczuk, minister kultury chwalił się w jednym z programów telewizyjnych, że nie dokończył czytać żadnej z jej książek.

Nawet jeśli w tamtym czasie nie interesowałeś się polityką, to polityka zainteresowała się tobą. W środowisku zaczęło się patrzeć, kto popiera nową władzę, która na różne sposoby próbowała przeciągnąć na swoją stronę twórców, np. zakładając pismo literackie „Nowy Napis”, w którym zatrudniła trzeciorzędnych pisarzy płacąc im wysokie pensje. A innych kusiła oferując za publikacje o wiele wyższe stawki niż w pozostałych pismach literackich. Niektórzy skuszeni tłumaczyli się po cichu, że nie popierają nowej władzy, ale przecież trzeba z czegoś żyć.

W Ministerstwie Kultury zaczęły powstawać nieformalne czarne listy. Byłem dumny, że znalazłem się na nich razem z wieloma wybitnymi twórcami. W moim przypadku oznaczało to, że Instytuty Polskie, których zadaniem jest promowanie polskiej kultury na świecie, nie zapraszały mnie na spotkania, kiedy moje powieści wychodziły zagranicą. A większość tłumaczeń moich książek nie była wspierana dotacjami przez Instytut Książki.

W odpowiedzi twórcy zaczęli bojkotować występowanie w państwowych mediach, które zresztą zmieniły nazwę na „narodowe”. Zrobiło się duszno. Nie można było oddychać swobodnie. Powtarzano, że Polska idzie w stronę autorytaryzmu. Jak przed 1989 rokiem, ludzie nagle zaczęli szeptać między sobą w kawiarniach, jakby bali się, że ktoś może podsłuchać i donieść, że krytykują władzę. Może dlatego pierwsze z tego złego snu obudziło się i wyszło protestować pokolenie Solidarności.

Myślę o pokoleniu moich rodziców, ludziach ukształtowanych w czasach komunizmu, popierających demokratyczną opozycję w latach 1970, o

zwolennikach Solidarności, wspominających często jako swój najpiękniejszy czas w życiu sierpień 1980, czyli tzw. „karnawał Solidarności”, a najgorszy późniejszą szarość i marazm stanu wojennego, który przełamywali działaniem w podziemiu. Nielegalnie drukowali książki i roznosili ulotki, filmowali i dokumentowali to, co się wokół nich działo. O ludziach w niebieskich dżinsowych kurtkach, którzy na zdjęciach z 1989 roku cieszą się z upadku komunizmu i z wolności, którą wywalczyli. O ludziach, którzy potem wrócili do swoich normalnych zajęć, po prostu robili swoje. Ale ich bunt znowu nagle wybuchł po 2015 roku, kiedy już jako siwi emeryci, zaczęli samotnie manifestować właśnie w obronie wolności i demokracji, które zdobyli nam 30 lat wcześniej.

Początkowo byli nieliczni, kiedy wyszli na ulicę przeciw niszczeniu Trybunału Konstytucyjnego. Godnie znosili ataki rządzących, którzy nazywali ich „ubekami, komunistami i złodziejami”. Nie odpowiadali agresją na agresję. Z każdym rokiem coraz więcej ludzi do nich dołączało. Momentem przełomowym było wprowadzenie nowego prawa aborcyjnego (2021), które jeszcze bardziej zaostrzyło i tak jedno z najbardziej restrykcyjnych praw w Europie, zakazując aborcji również w przypadku ciężkich i nieodwracalnych wad płodu. To wtedy obudzili się młodzi, zwłaszcza młode kobiety, które ta ustawa bezpośrednio dotknęła.

Rządzący oczywiście w odpowiedzi organizowali swoje własne demonstracje, a media narodowe kłamały, że są one dużo liczniejsze od opozycyjnych.

Przez te 8 lat przeszedłem dziesiątki kilometrów w marszach przeciw rządowi Prawa i Sprawiedliwości. I nawet to polubiłem – spotkanie ludzi o podobnych poglądach, piknikowa atmosfera, a jednocześnie przekonanie, że walczy się o coś ważnego i moralnie słusznego. Mimo poczucia, że niewiele to daje.

Moje dzieci lubiły mi towarzyszyć, bo wreszcie mogły sobie bezkarnie pokrzyknąć: „Niech żyje wolność!”. Raz w czasie marszu namówiły mnie, żebym kupił im po małej fladze Unii Europejskiej i po biało-czerwonej wuwuzeli. Stanęliśmy w kolejce do jednego z przenośnych stoisk na kółkach. Przyjrzałem się dwóm młodym sprzedawcom. Byli w luźnych sportowych ubraniach z nałożonymi na bluzy t-shirtami z flagą Unii Europejskiej. Mieli ręce pełne roboty i wyglądali na zadowolonych prawie tak jak moje dzieci. Co chwila na zmianę sięgali do kosza z flagami Polski, z flagami Unii Europejskiej i z wuwuzelami. A trzeci pracownik donosił im z samochodu świeży towar. Zauważyłem, że on akurat był trochę inaczej ubrany. Miał na sobie czarną bluzę CHWAŁA WIELKIEJ POLSCE z orłem w koronie i czapkę z napisem ŚMIERĆ WROGOM OJCZYZNY.

Zresztą jego kolega też zwrócił na to uwagę:

- No stary, co ty... - pokazał na jego ubranie – Pojeba...cię?

- Sorry - ziewnął dostawca i przetarł oczy jak śpiące dziecko - Nie byłem jeszcze w domu.

Świetnie go zrozumiałem. Bo kiedy najlepiej sprzedają się lody? W upalne lato. Parasolki? W czasie deszczu. A flagi? Oczywiście w czasie manifestacji. Sprzedawców przecież nie interesują poglądy klientów. Mają zarabiać, a nie wnikać z jakich powodów, ktoś je kupuje i w imię czego będzie nimi machał. Co ich obchodzi, czy w ten sposób popiera opozycję, czy rząd? Czy jest Euroentuzjastą, czy Eurosceptykiem? Czy chce bronić praworządności, praw kobiet i wolności słowa, czy obchodzić miesięcznicę smoleńską. Przecież dzięki temu właśnie, że obsługują wszystkie możliwe opcje, tak dobrze im idzie. Polaryzacja nakręca ich interes, który łączy manifestujących po obu stronach obojętnie jakiej polskiej barykady.

Te i podobne obserwacje z codzienności tamtego czasu opisywałem w felietonach do Tygodnika Polityka. Po raz pierwszy moje teksty były polityczne i zaangażowane, ale starałem się unikać patosu. Miałem przyjemne poczucie, że są ważne przynajmniej dla innych manifestantów, którzy czasem podchodzili do mnie, żeby jednocześnie idąc o nich porozmawiać.

Zmiana klimatu polityczno-kulturowego i narastające wrażenie, że czas nagle cofnął się do lat 1930 wpłynęło też na książkę, którą pisałem. Paradoksalnie było to pomocne, bo pracowałem nad powieścią historyczną o żydowskiej rodzinie właśnie w okresie międzywojnia. Wcześniej bałem się, że nie będę umiał wiarygodnie opisać przedwojennych nacjonalistów. Że wyjdą papierowo i sztucznie, jak rekonstrukcja historyczna. Zdawali się tak odlegli jak epoka dinozaurów. Ale rzeczywistość przyszła mi z pomocą - coraz liczniejsze marsze i agresywne ataki nacjonalistów w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości nikogo już nie dziwiły.

Wydawało się, że PiS nigdy nie odda władzy. Rządzący zachowywali się, jakby nie brali tego nawet pod uwagę. Mimo wybuchu kolejnych afer korupcyjnych prawie nie tracili poparcia. System wyglądał na zabetonowany i ludzie - czy tego chcieli, czy nie - przyzwyczajali się do niego. Młodzi, jak na przykład moje dzieci, w ogóle nie pamiętali innych rządów.

Dopiero powrót z Brukseli w 2021 roku Donalda Tuska, centroprawicowego polityka, byłego premiera (2007-14) i byłego przewodniczącego Rady Europy (2014-19), dał ludziom nadzieję. Tusk był zdeterminowany, żeby pokonać populistów. Mimo że media narodowe od rana do wieczora atakowały go i zohydzały na wszelkie możliwe sposoby, udało mu się odsunąć ich od władzy.

Pamiętam ten dzień. 15 października 2023. Ludzie do późna stali w kolejkach do lokali wyborczych. Wyniki exit poll, ulga i ogromna radość. Poczucie, że znowu można swobodnie oddychać. Spotkałem się z przyjacielem, żeby świętować. Szczęśliwi powtarzaliśmy słowa poety Antoniego Słonimskiego: „Polska to taki kraj, gdzie wszystko może się zdarzyć, nawet coś dobrego”.

III

Dwa i pół roku później niewiele zostało z tamtego entuzjazmu. Czuć zniecierpliwienie i rozczarowanie niezrealizowanymi obietnicami rządu Tuska. Zarzuca mu się też brak pomysłu na politykę kulturalną.

Do tego wybory prezydenckie w 2025 roku wygrał popierany przez Prawo i Sprawiedliwość Karol Nawrocki, który wetuje większość rządowych uchwał.

Pamięć polityczna jest krótka. Ludzie błyskawicznie przyzwyczaili się, że nie trzeba już szeptać, można znowu swobodnie oddychać, nie ma polowań na czarownice ani czarnych list. Te duszne lata zostały szybko zapomniane. Podobnie jak pandemia Covid 19, też nie wydają się jeszcze wystarczająco opisane i przepracowane.

Instytuty Polskie zapraszają mnie na spotkania z okazji zagranicznych premier moich powieści, których tłumaczenia są teraz dofinansowywane przez Instytut Książki. Ale pisanie, podobnie jak inne rodzaje twórczości artystycznej, znowu wydaje się mniej ważne. Może dlatego że nie jest widziane przez rządzących jako zagrożenie? Zajęło to samo miejsce co po przełomie 1989 roku.

Na jak długo?

Antydemokratyczny wirus wciąż jest żywy i nie jest to niestety wyłącznie polskie doświadczenie.

Szyborska tak kończy wiersz „Rozpoczęta opowieść”:

*Oby połów był lekki
i dziecko rosło nam zdrowo.
Niech będzie czasem szczęśliwe
i przeskakuje przepaście.
Niech serce jego ma zdolność wytrwania,
a rozum czuwa i sięga daleko*

*Ale nie tak daleko
żeby widzieć przyszłość.
Tego daru
oszczędźcie mu, niebieskie moce.*

Mikołaj Łoziński